

Janusz M. Szlechta

WIDZIANE STAMTĄD

Wybór wywiadów z Polakami
żyjącymi gdzieś w świecie



INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

Projekt okładki, projekt graficzny i skład komputerowy: Ilona T. Bruzda
Zdjęcia: Janusz M. Szlechta
Zosia Żeleska-Bobrowski (str. 63), Adam Brykajło (str. 185)
Korekta: Jolanta Wysocka

Wydanie I
Białystok/ Nowy Jork 2017
ISBN 978-83-7344-069-2

© Copyright by Instytut Wydawniczy Kreator, Białystok 2016
All rights reserved, including the right of reproduction in whole
or any part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana
ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych,
kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody
posiadacza praw autorskich.



INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – sklep firmowy – detal
www.iwk.pl e-mail: biuro@iwk.pl

PRINTED IN POLAND

*Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim osobom i organizacjom,
dzięki którym ta książka mogła się ukazać. Są to:
Piotr Chmieliński/Canoandes, Inc.
Stanley Trojaniak
Eugeniusz Zych
Krzysztof Rychter
Szczecin America Club Inc. w Nowym Jorku
Celina i Edward Urbankowscy
PSC Community Inc.*

SPIS TREŚCI

Od autora.....	1
1. Tadeusz Urbański <i>Przydarzyła mi się emigracja...</i>	3
2. siostra Michaela Rak <i>Śmierć uczy nas życia</i>	21
3. Zdzisława Świstoń <i>Moja pierwsza misja</i>	33
4. Urszula Sztorc De Cáceres <i>Idę swoją ścieżką...</i>	45
5. Adam Bartosz <i>Nobel dla Bartosza</i>	51
6. Janina Osewska <i>Zabiorę kawalek Nowego Jorku do Augustowa...</i>	56
7. Jerzy Porębski <i>Śpiewając uczłowieczam siebie i innych</i>	63
8. Irena Androszczuk <i>Po prostu piękne hobby...</i>	69
9. Helena Zamorska <i>Patrzę na Polskę oczami Duńczyka</i>	72
10. ksiądz Stanisław Stańczuk <i>Kaplica w wodokacze</i>	79
11. Michał Bieniasz <i>Kreujemy modę na polskość</i>	85
12. Ryszard Zieliński <i>Głosowałem za lepszą przyszłością</i>	93
13. Barbara Kukulska <i>Jak trwoga, to do Basi...</i>	101
14. Janusz Golaś <i>Jest taka idea...</i>	109
15. Małgorzata Stęпка <i>Silaczka na Syberii</i>	115
16. Marek Michalak <i>Dajemy dzieciom bilet do przyszłości</i>	123
17. Piotr Staniak <i>Tak trudno zejść ze sceny...</i>	127
18. Wojciech Wrona <i>Bardzo polska... Irlandia</i>	133
19. Leokadia Komaiszko <i>Polska zawsze jest pośrodku</i>	139
20. Jarosław Źralka <i>Szukam swojej ścieżki do Majów</i>	145
21. Ryszard Pawłowski <i>W górach jest mój dom</i>	153
22. ojciec Tadeusz Szyjka <i>Moja misja na Syberii</i>	163
23. Beata Żółkiewicz-Siakantaris <i>Wiążemy greckie z polskim</i>	169
24. Szczepan Gruszka <i>Byłem wtedy w kopalni „Wujek”</i>	177
25. Włodzimierz „Wowa” Brodecki <i>Jeździec, który przywraca pamięć</i>	185
26. Zbigniew Kwiatkowski i Filip Źurakowski <i>To jest książka dla słabszych...</i>	193
27. Stanisław Lis <i>Podróż przez Polskę trwająca 20 lat</i>	201
28. Grzegorz Heromiński <i>Mój grzech zaniechania</i>	211
29. Tadeusz Pabisiak <i>Spełniłem swój amerykański sen!</i>	219
30. Anna Gordijewska <i>Zdażyłam na swój pociąg</i>	229
31. Henryk Iwaniec <i>Matematyka to moja miłość!</i>	249

WIDZIANE STAMTĄD

OD AUTORA

Ponad 20 lat pracowałem w redakcji „Nowego Dziennika” – wówczas największej i najpoważniejszej gazecie polskojęzycznej w metropolii nowojorskiej, a także w całych Stanach Zjednoczonych. Gazetę tę – której pierwszy numer ukazał się 27 lutego 1971 roku – założył, przy wsparciu przyjaciół, pan Bolesław Wierzbiański.

Dzięki tej pracy dziennikarskiej miałem okazję poznać Polonię w Stanach Zjednoczonych. Efektem tego jest niedawno wydana książka „Widziane stąd”. Poznałem też wielu rodaków mieszkających w różnych krajach na wszystkich kontynentach. Było to możliwe przede wszystkim dlatego, że uczestniczyłem w spotkaniach polskich dziennikarzy z całego świata – Światowym Forum Mediów Polonijnych – które przez 20 lat organizował Stanisław Lis z Tarnowa z grupą pasjonatów. Dzisiaj wiem, że nic lepszego dla rozsianych po świecie rodaków zdarzyć się nie mogło. Forum bowiem było miejscem ważnych, merytorycznych spotkań z Polską. Dzięki niemu poznałem Polskę, której nie byłbym w stanie poznać w inny sposób. I co roku tą Polską zachwycałem się coraz bardziej...

Forum było fantastycznym wydarzeniem, tak samo niedocenianym przez wielu jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. A było to wydarzenie, dzięki któremu świat stał mi się bliższy, cieplejszy, niemal oswojony. Podczas tych spotkań poznałem wielu wspaniałych ludzi rozsianych po świecie, którzy może nieco inaczej myślą, którzy może nieco inaczej śpiewają, ale przecież łączy nas... niegasnąca tęsknota za Polską. To właśnie dzięki Forum narodziło się wiele przyjaźni, które tak znakomicie procentują w naszym życiu prywatnym i zawodowym. Ileż ważnych tekstów ukazało się w nowojorskim „Nowym Dzienniku” dzięki wydarzeniom na Forum i dzięki zawartym tam przyjaźniom!

Dzięki Forum odżyły też stare, bądź narodziły się nowe, media polonijne. XX Światowe Forum Mediów Polonijnych, które odbyło się we wrześniu 2012 roku, było zarazem ostatnim. Niestety, nie było chętnych do dalszego wspierania organizatorów, nie było pieniędzy...

Książka ta składa się z rozmów, które udało mi się w większości przeprowadzić dzięki spotkaniom z kolegami i koleżankami po piórze właśnie podczas Forum. Bywało, że niektórych miałem okazję odwiedzić w domu, w kraju, w którym mieszkają. Opowiadali o swoim życiu, niekiedy o bolesnych doświadczeniach i pracy tam, gdzie w świecie. Stąd tytuł książki „Widziane stamtąd...”.

Jest tu rozmowa z Barbarą Kukulską, która w 1981 roku wyjechała z Gdańska, a dzisiaj w Johannesburgu w RPA jest szefową dużej polskiej organizacji i wydaje polską gazetę. Jest też rozmowa z byłym już szefem Kongresu Polonii w Szwecji Michałem Bieniaszem oraz z Małgorzatą Stępką, która na Syberii trzy lata uczyła studentów na uniwersytecie w Irkucku języka i kultury polskiej. Miałem okazję porozmawiać z księdzem Tadeuszem Szyjką, który na Syberii realizuje swoją chrześcijańską misję, i ze znakomitym himalaistą Ryszardem Pawłowskim.

Zamieszczam rezultat wielu rozmów z autorami bardzo ciekawej książki „Bóg i pieniądze” – Zbigniewem Kwiatkowskim i Filipem Żurakowskim. Nie mogłem pominąć Wowy Brodeckiego, który na koniu, jeszcze za PRL-u, wybrał się na Monte Cassino, aby złożyć kwiaty na grobach polskich żołnierzy – i robi to do dziś...

Jest tu rozmowa z pierwszą polską pielęgniarką, która wyjechała na wojnę do Iraku, a także z siostrą Michaelą Rak, która założyła i prowadzi jedyne hospicjum na Litwie.

Ostatnim moim rozmówcą, który znalazł swoje miejsce w tej książce, jest Henryk Iwaniec, profesor matematyki na Rutgers University w stanie New Jersey w USA, laureat prestiżowej Shaw Prize 2015 (nagrody potocznie nazywanej „matematycznym Noblem”), którą otrzymał w Hongkongu za swoją działalność naukową.

Janusz M. Szlechta



PRZYDARZYŁA MI SIĘ EMIGRACJA...

Rozmowa z **TADEUSZEM URBAŃSKIM** – działaczem i dziennikarzem polonijnym w Sztokholmie w Szwecji

Kiedy przyjechałeś do Szwecji?

Niespełna trzy tygodnie przed ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, czyli pod koniec listopada 1981 roku. Wypłynąłem z Gdańska promem "Silesia" do Sztokholmu. Prom ten w Gdańsku wydawał mi się wielkim statkiem, łącznikiem z wielkim światem, zapowiedzią przygody. Kiedy później zobaczyłem w Sztokholmie promy, na których są trzy tysiące łóżek dla pasażerów, to ten nasz okazał się skromną łajbą. Wtedy uświadomiłem sobie, że odległość między PRL-em a Szwecją jest olbrzymia, że nie jest to tylko Bałtyk, lecz... wszystko!

Byłeś przygotowany na Szwecję? Czy miałeś jakiś plan pobytu, tego, co będziesz robił?

Najpierw postanowiłem postarać się o polski paszport, aby wyjechać – to był plan! Ale ten prawdziwy plan był nikły. Ktoś miał mnie z kimś skontaktować,

ułatwić start... Ale nic z tego nie wyszło. Skoro więc przypląnąłem, musiałem od początku sam przecierać szlaki.

O Szwecji słyszało się w Polsce to i owo i były to zawsze opinie dobre. W latach 70. paru moich znajomych bywało w tym kraju, aby zarobić lepsze pieniądze. Poza tym wywoziłem z Polski pojęcia, takie jak: szwedzkie windy, Volvo, Elektrolux, Celsjusz, Nobel, szwedzki stół oraz potop. Nie oczekiwałem po Szwedach, że zrewanżują mi się znajomością poloneza, polskiej kiełbasy, Fiata 126p, Sobieskiego czy Piłsudskiego. Potomkowie walecznych rajtarów z XVII wieku okazali jednak dużą życzliwość i zrozumienie dla mojej sytuacji, ze stanem wojennym w tle.

Czym zajmowałeś się w Polsce?

Przybyłem do Sztokholmu jako trzydziestolatek, drukarz, typograf, księgarz i początkujący publicysta. Sądziłem, że gdzieś w drukarni znajdę pracę, bo jako humanista, ze słabym angielskim, na zbyt wiele nie mogłem liczyć...

Jaki był powód Twojego wyjazdu z Polski? Czy wyjeżdżałeś tylko na chwilę, żeby zarobić jakieś pieniądze i wrócić do domu, czy też zamierzałeś pozostać w Szwecji na dłużej, może nawet na stałe?

Jestem emigrantem z przypadku. W 1980 roku urodził się nasz syn Karol, więc chciałem w Szwecji zarobić i wrócić do Polski, aby wybudować dom. Plac miałem obiecany od rodziny żony, miałem też wstępny projekt domu... W drodze była już wówczas córka Natalia.

Jak wiele tysięcy Polaków, którzy szukali możliwości zarobku w Szwecji czy w innych krajach, zostałem kompletnie zaskoczony ogłoszeniem stanu wojennego. Przyjechałem do Szwecji bez wizy, bo tych wtedy nie trzeba było mieć, z dwiema walizkami i niewielkim planem na przyszłość: zarobić, zrobić zakupy i wrócić do Polski. To był plan na kwartał albo na pół roku. Ja zawsze to podkreślałem – zostałem w Szwecji nie dla jej zasobności i porządku, lecz dlatego, że w Polsce był koszmar i nie mogłem żyć u siebie tak, jak chciałem.

Stan wojenny został ogłoszony. To był szok dla emigrantów, ale także dla ludzi mieszkających w Polsce. Byłeś świeżym emigrantem, jak sobie radziłeś w tej nowej rzeczywistości?

Zima była wyjątkowo śnieżna, nawet jak na środkową Szwecję. Noc przed ogłoszeniem stanu wojennego spędziłem z kolegą u jego sztokholmskiej

ciotki. Obudziła nas okrzykiem: “Chłopaki, w Polsce wojna!”. Bo też to tak mogło wyglądać dla wszystkich na świecie. Generał miarowo odmierzał słowa orędzia i było jasne, że dzieje się coś niezwykłego.

Pojechaliśmy pod kościół, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Ale, poza domysłami i fantastycznymi teoriami, mało było konkretów. Za to na mszy było bardziej podniosłe. Poczułem się jak banita wyrzucony z kraju, a przy słowach pieśni “Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie...” wielu z nas, świeżych na obczyźnie, głos się załamał i popłynęły łzy. Polska była za kordonem. Bez żadnej łączności ze światem. Od tego dnia nasze walizki stały się ciężarem jeszcze większym. Były całkowicie polskie i zawierały peerelowskie skromne graty. Były kawałkiem domu, z wyprasowanymi przez żony i matki koszulami.

Wieczorem, 13 grudnia 1981 roku, w centrum Sztokholmu, Szwedzi tysiącami protestowali przeciwko stanowi wojennemu w Polsce, mimo corocznego, tradycyjnego, wielkiego święta św. Łucji.

Było zimno, obco, niepewnie. Pamiętam, że rozpaczliwie wówczas myślałem: mam 120 koron, moje dwa bagaże są w dwóch różnych miejscach, jestem głodny i nie rozumiem języka ani tego bożonarodzeniowego podniecenia w obcym mieście. Nie znam tu nikogo, nie pojmuję tych tysięcznych świateł w oknach, iskrzenia śniegu, jestem sam i nie wiem, gdzie będę nocował. Było ciężko... Każdej śnieżnej zimy miewam nieprzyjemną czkawkę wspomnieniową z tamtego czasu.

Ale jakoś zawsze lądowałem na wozie, chociaż tylko na jedną noc. Miałem świadomość, że w kraju pozostała moja rodzina: malutki syn i żona Danuta w ciąży. Oczywiście ze wszystkich sił starałem się ściągnąć ich do Szwecji, abyśmy mogli być razem, ale nie było to wcale takie proste. Czekałem 2,5 roku na to, aby Jaruzelski ich wypuścił.

A nie myślałeś o tym, aby jak najszybciej wrócić do Polski, no bo przecież nikt nie wiedział wówczas, co to będzie, jak potoczą się losy kraju i naszych rodzin...

Oczywiście, że myślałem o powrocie, ale... nie zrobiłem tego, coś mnie powstrzymało. Wszyscy zostaliśmy zaskoczeni. Pozostawiliśmy przerwane życie w Polsce, rodziny, dzieci, pracę... Niemożność porozumienia się z rodziną w Polsce, zmęczenie obcością, zimą i niewiadomą przyszłością skłaniały do podejmowania drastycznych decyzji. Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego wielu rodaków odpływało coraz rzadszymi promami do Gdańska.

W ich poczynaniach dominowała troska o rodzinę, obawa o utratę pracy, no i o kłopotliwe tłumaczenia na milicji. Po latach dowiedziałem się, że chyba wszyscy żalowali decyzji o powrocie.

Musiałeś jakoś przeżyć, co zatem robiłeś, z czego się utrzymywałeś?

Zacząłem w Sztokholmie żywot emigranta pod skrzydłami rządu Królestwa Szwecji. Znalazło się tu około 1000 Polaków. Szwecja była i jest państwem opiekuńczym. Łączy w sobie dwa główne elementy, za którymi wówczas Polacy bardzo tęsknili: opiekuńczość i mit Zachodu. Ten Zachód nie imponował mi specjalnie, mimo że to był zupełnie inny świat od tego, jaki znałem, ale korzystałem z jego przychylności. Nie było tutaj przysłowiowego octu na półkach i plastikowych wiader, lecz było to normalnie funkcjonujące państwo. Starąłem się zaakceptować, że tutaj jest inaczej niż w Polsce i jest to normalne. Miałem świadomość, że muszę przyjąć panujące tu zwyczaje i prawo, a więc jestem liściem, a wiatr historii, który mnie tutaj przywiał, nakazywał mi podporządkować się.

Różnice między państwami były oczywiste. Wiedziałeś, co regulowało życie społeczne i dlaczego Szwedzi byli i są tak zdyscyplinowani?

Dawno temu ktoś zwrócił moją uwagę na łaciński napis na jednym kościołów w centrum Sztokholmu: “Najpierw szukamy chleba, a później Boga”, co jest tak różne od katolickiego “Módl się i pracuj”. Protestantki model po trosze rozmywa się w nowym, wieloetnicznym społeczeństwie, ale jest dostatecznie mocny, by dyktować styl życia i pracy, gdyż dziesiąta część mieszkańców Królestwa Szwecji to obcokrajowcy różnych religii.

Stan wojenny sprawił, że mój plan na życie w Szwecji musiał ulec zmianie. Zdecydowałem, że zostaję tutaj na stałe i czekam na rodzinę. Zgłosiłem się na policję i jako uchodźca polityczny nabrałem wszystkich praw – i najbliżsi w Polsce również. Na początku posługiwałem się angielskim, ale zaraz zapisałem się na kurs języka. Szwedzki jest dosyć trudny, melodyjny, bardzo podobny do norweskiego, zawiera elementy duńskiego, a nawet niemieckiego.

Chodziłem do Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, aby upominać się o rodzinę. Tam powstawały rejestry bliskich, których – jak sądzili wszyscy będący w podobnej jak ja sytuacji – niedługo uda się sprowadzić do Szwecji.

Mieszkałem w hotelu dla emigrantów. Były to cztery olbrzymie budynki obok siebie. Mieszkali tu faceci z całego świata. Dostałem pokój z małutką

kuchenką. W każdy poniedziałek przychodziła sprzątaczką i zmieniała pościel oraz sprzątała to mieszkanie. Jako uchodźca, mieszkalem na koszt szwedzkiego podatnika i dostawałem zapomogę za naukę języka – z tego musiałem przeżyć. Liczono na mnie jako przyszłego pracownika, który będzie płacił podatki. Jak wysokie? Z tego jeszcze nie zdawałem sobie sprawy. Czasami udawało mi się dorobić przy odśnieżaniu czy prostych pracach ogrodowych. No i wspierałem paczkami rodzinę w Warszawie, za nadanie których Poczta Szwedzka nie pobierała opłat, podobnie jak zachodniemiecka.

Z pewnością miałeś wówczas kontakty z rodakami, którzy również wyjechali z Polski i postanowili zostać w nowym kraju na stałe...

Tak, dosyć szybko poznałem wielu podobnych do mnie. Były to pierwsze kontakty i znajomości spod kościoła. Z całej Polski, gdyż emigracja to Polska w pigułce. Byli wśród nas działacze Solidarności i innych krajowych organizacji antykomunistycznych, naukowcy, studenci, robotnicy, dziennikarze... a nawet jeden znany aktor!

Złożyłem też wizytę w Ośrodku Polskich Organizacji Niepodległościowych. Było to dla mnie wielkie przeżycie i wejście w krąg emigracyjnych problemów. Dla wielu Ośrodek stał się domem dziennym, a dla kilku z nas nawet nocnym. Sypiałem tam we własnym śpiworze, na legendarnej skórzanej kanapie i tam miałem oficjalny adres, zanim zamieszkałem w hotelu.

W Ośrodku spotykałem też Polaków osiadłych od dawna. Przyjęli nas na początku ostrożnie, ale służyli doświadczeniem i pomocą w różnych sytuacjach, np. w zgłoszeniu na policję, wypełnieniu formularzy urzędowych, służyli za tłumaczy w nagłych sytuacjach.

Czy w tym czasie było więcej Polski w mediach szwedzkich i w rozmowach między Szwedami niż zazwyczaj?

Polska na pierwszych stronach gazet utrzymywała się kilka miesięcy. W telewizji pokazywano wówczas wielokrotnie filmy Andrzeja Wajdy "Człowiek z żelaza" i "Człowiek z marmuru". My, uciekinierzy, którzy porzucili ludową ojczyznę, uważani byliśmy przez władzę w Polsce za wrogów, ponieważ szkalowaliśmy dobre imię PRL.

W kwietniu 1982 roku wysoki komisarz do spraw uchodźców przy ONZ zakomunikował, że stan wojenny zastał na Zachodzie 137 tysięcy Polaków. W Królestwie Szwecji było nas tylko 1500 osób, ale np. w Austrii – 30 tysięcy,

a w RFN – 11 tysięcy. Z tej ogromnej liczby emigrantów 90 tys. poprosiło o zezwolenie na pozostanie w tych krajach dłużej, do czasu wyjaśnienia sytuacji w Polsce, a 47 tys. poprosiło o azyl. Znam te liczby, gdyż kilkakrotnie pisywałem o moich początkach na obczyźnie.

Jak kontaktowałeś się wówczas z rodziną? Czy w ogóle było to możliwe?

Pisałem listy, które nie zawsze dochodziły. Próbowalem telefonować, ale na ogół bez skutku. W międzyczasie Danusia urodziła Natalkę. Wiadomość o narodzinach córki otrzymałem bardzo skomplikowaną drogą, dwa dni później. Koleżanka Elżbieta, mieszkająca blisko 10 lat w Szwecji, dostała telefon z australijskiej ambasady w Sztokholmie. Poproszono ją, aby mnie powiadomiła, że żona urodziła córkę. Wiadomość ta dotarła do mnie dzięki polskim przyjaciółom, jakąś dziwną drogą, podobno przez ambasadę francuską w Warszawie. Był maj 1982 roku. Chciałem, żartując oczywiście, dać córce imię Konstytucja – bo urodziła się 3 maja – ale zostało w końcu ustalone, że będzie jednak Natalia.

Kiedy Twoja rodzina przeniosła się oficjalnie z Polski do Szwecji?

16 kwietnia 1984 roku pojechałem z kolegą samochodem na lotnisko, aby ich odebrać. Na powitanie syn Karol, który miał niecałe cztery lata, powiedział do mnie: “Tato, ale się w samolocie zrzygałem”. A Natalka, która miała niespełna dwa latka, powiedziała: “Lalka boi taty”. Do dziś ma ksywkę “Lalusia”. Nie zdziwiło mnie to, gdyż pierwszy raz w życiu zobaczyła ojca na lotnisku Arlanda. Potem szybko nawiązaliśmy bardzo dobre kontakty.

Ich wylot poprzedziły długie korowody i wielokrotne kontakty z ambasadą i konsulatem szwedzkim w Warszawie oraz polskimi urzędami... Żona musiała się pozbyć wszystkiego, a jej własnością było tylko to bardzo skromne mienie przesiedleńcze, które wysłała w kontenerze: trochę pościeli, dwie kołdry, dywan, parę garnków, buty i ubrania dla dzieci... Raptem dwa metry szczęście – i wszystko było opisane komisyjnie i zapakowane. Kwity zachowałem i posiadam je do dziś. Moja żona później opowiadała, jak urzędnicy skwapliwie przeglądali ten skromny dobytek (wszystkie rzeczy musiały być używane!) i dopytywali się z nieukrywaną zazdrością, czy to przeprowadzka na stałe, wyobrażając sobie zapewne, jakim to ja jestem w Szwecji milionerem... Przesyłkę dostarczono promem na nasz koszt po dwóch tygodniach.

Jakie były początki waszego wspólnego życia w obcym kraju?

W 1984 roku dostałem pracę w drukarni i zapisałem się na kurs zawodowy w największym szwedzkim dzienniku "Dagens Nyheter". Byłem naprawdę zajęty, ale przygotowywałem się na przyjazd rodziny. Przede wszystkim musiałem mieć większe mieszkanie, gdyż rodzin w hotelu nie meldowano. Wynająłem z drugiej ręki dwa pokoje z kuchnią, gdzie miałem mały biało-czarny telewizor, półkę na książki, trochę kawalerskiego wyposażenia i śpiwór, w którym sypiałem w przedpokoju, bo miał miękką wykładzinę.

Trzy tygodnie później zadzwonili do mnie z urzędu imigracyjnego, aby zapytać, kiedy przyjedzie rodzina. Data była już ustalona, odwiedził mnie urzędnik i zdecydował, że to mieszkanie jest za małe dla czterech osób, więc zapisał mnie na większe na tym samym osiedlu. Niedługo potem poszedłem oglądać czteropokojowe mieszkanie na czwartym piętrze, gdzie właśnie do wyprowadzki szykowałą się szwedzka, wielodzietna rodzina.

Po dwóch tygodniach od przyjazdu żony z dziećmi objęliśmy nowe mieszkanie i pożyczylimy od znajomych składane łóżka. To jest Fisksatra, czyli Osiedle Rybne, gdzie nazwy ulic są zapożyczone od ryb. Wokół są lasy, żadnych fabryk i dużo słonawej wody, ponieważ to już jest po stronie Bałtyku. W tym mieszkaniu jesteśmy do dziś. Ponieważ mam ogromną bibliotekę, z przerażeniem myślę o planowanej przeprowadzce.

Czy starczało Twojej pensji na utrzymanie rodziny?

Oczywiście, że nie wystarczało. Jako uchodźcy-osiedleńcy dostaliśmy sporą, nieoprocentowaną rządową pożyczkę w specjalnych bonach (żadnej gotówki!), przede wszystkim na meble. Spłacałem ją w niewielkich ratach przez pięć lat. A i do czynszu dokładano nam... Po trzech latach żona dostała pracę. Wtedy w Szwecji była fala uchodźców z Polski oraz z Iranu, Iraku, Erytrei, trochę było emigrantów z Turcji.

Nie obyło się z pewnością bez biurokratycznych korowodów...

Niestety. Przyjęto nas jako rodzinę do Królestwa Szwecji i zaczęto, zgodne z przepisami, dyktować warunki. Należało zgłosić swoją przynależność do jakiegoś Kościoła, by potem płacić podatek na ten Kościół. Danusia zaczęła chodzić do szkoły, mnie dołożono jeszcze kurs komputerowy. Za jakiś czas przyszło zawiadomienie, że muszę zaprowadzić dzieci do przedszkola. Nasza znajoma Margareta i jej mąż, którzy mieli syna w wieku Karola, poradzili

nam, aby oddać dzieci do prywatnego przedszkola, które na naszym osiedlu prowadziło w domu młode małżeństwo szwedzkie. Takie przedszkole nazywało się *Daghem*, czyli Dzienny Dom. Przedszkolankę nazywano *Dagmamma*, czyli Dzienna Mama, a jej mąż był Dziennym Ojcem.

Wiele wówczas robiłem, aby zaprzyjaźnić się z dziećmi, aby zyskać ich zaufanie i miłość. Udało mi się to dosyć szybko. Jestem szczęściarzem, bo do dziś mam świetne kontakty z dziećmi. Bo z żoną szybko się dogadaliśmy. Danusia, z zawodu księgowa, w ciągu trzech lat zaliczyła tutejszą ekonomiczną szkołę średnią i po zawodowym kursie została szwedzką księgową.

Co jakiś czas mechanizm państwowy wskazywał nam, co mamy robić: należy dokonać szczepienia dzieci; należy udać się z dziećmi do dentysty do kontroli zębów i na inne badania zdrowotne. Co ciekawe, pomocne w tym były polskie książeczki zdrowia dzieci. Kiedy poszliśmy do dentysty z Natalką, która miała niespełna 3 latka, ta zasnęła na fotelu podczas badania.

Zaczęliście się zatem przyzwyczajać do Szwecji, do panujących w tym kraju warunków... Czy staraliście się jednak zachować polskie tradycje, mówić po polsku?

Oczywiście. W domu mówiliśmy tylko po polsku, dzięki czemu dzieci nie mają problemu z językiem. Karol mówi tak, jakby z Polski nie wyjeżdżał. Czasami mu się zdarzy, że zaśpiewa po szwedzku, bo język ten ma osobliwy akcent. Córka mówi po polsku trochę inaczej, ale nie gorzej. Karol zna też niemiecki. W nauce tego języka, już w gimnazjum, pomagała mu nasza dobra znajoma, uroczą pani Gertrude Menzel, berlinianka rocznik 1914. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

Staraliśmy stworzyć normalny polski dom, ze wszystkimi świętami, imieninami i urodzinami. Dzieci wozilem na religię i w swoim czasie przystąpiły do Pierwszej Komunii Świętej i były bierzmowane. Dosyć późno zorientowałem się, że naszej rodzinie brakowało... seniora. Wszyscy dziadkowie bowiem pozostali w Polsce i kontakt był wyłącznie telefoniczny. Frau Gertrude te braki nam częściowo rekompensowała. Potem było biednie, ale już lepiej, bo przyjechała do nas moja mama, przyjechali też teściowie... Raz do roku jeździliśmy na miesiąc do Polski, do rodziny, najczęściej w wakacje. Bo dzieciom trzeba było nie tylko opowiadać o Polsce, ale także ją przybliżyć.

Kiedyś pojechaliśmy latem do Zakopanego. Karol miał wtedy 10 lat. Było ponuro, kiepska pogoda. Mówię mu: "Luleczku, niedaleko jest wielka

góra, Giewont się nazywa”. Stanęliśmy na Krupówkach, a on podparł się pod boki i mówi: “No, tato, gdzie ta góra!”. I w tym momencie chmury odpłynęły i odsłoniły Giewont. Widok był imponujący. Trwało to krótko, ale zobaczył! Aż przysiadł z wrażenia. A potem z Gubałówki wypatrzył przez lornetkę krzyż stojący na Giewoncie. Okazało się więc, że tatuś nie bredzi o ojczyźnie, lecz mówi o tym, co naprawdę jest.

Wiem, że język angielski jest w szkołach szwedzkich obowiązkowy. A co z nauką języka polskiego?

Jeździliśmy z dziećmi do Polski, aby poprawiały język i poznawały kraj. Po każdym pobycie w Polsce znacznie lepiej mówiły, ale też czegoś nowego się uczyły. Oboje zaliczyli po trzy lata polskiej szkoły podstawowej, przy ambasadzie polskiej – w zakresie języka, historii i geografii. Mają świadectwa! Oprócz tego uczyły się kilka godzin tygodniowo polskiego w swojej szwedzkiej szkole. Zajęcia te prowadziły panie, które były nauczycielkami programowego języka ojczystego w szkołach podstawowych w Sztokholmie.

Jakie szkoły skończyły Twoje dzieci i gdzie pracują?

Karol skończył bardzo dobre gimnazjum i zaraz odbył zimową służbę wojskową, daleko na północy. Ładnie rysował i chciał być architektem. Zawsze coś dłuwał, sklejał, budował... Ale się nie dostał na architekturę. W pewnym momencie nawet chciał być stolarzem. Frau Gertrude Menzel powiedziała mu: “Karol, masz wszystkie palce i szkoda by ich było, bo zaraz sobie poobcinasz”. Wreszcie ktoś mu poradził, aby zajął się techniką dentystyczną. Skończył czteroletnie studia i po dyplomie szukał pracy. Proponowano mu stanowisko asystenta na tej uczelni, bo ma zdolności pedagogiczne, ale on chciał robić coś konkretnego, czyli zęby. Ciągłe opowiadał o implantach...

Na studiach poznał dziewczynę Lindę, Szwedkę, i oboje dostali pracę w klinice w Karlstadt, 300 kilometrów na zachód od Sztokholmu. Pobrali się, dostali mieszkanie i pracowali sześć lat jako technicy. Ale jemu zachciało się pójść dalej, podjął studia stomatologiczne i za rok już będzie lekarzem dentystą. Linda urodziła syna Emila, mojego wnuka “samuraja”.

Karol ma ponad 190 centymetrów wzrostu, a Linda jest malutka, pochodzi z Korei Południowej. Kiedy miała 6 miesięcy, została adoptowana przez szwedzkie małżeństwo i wychowana na Szwedkę. Linda powiedziała kiedyś, że nie będzie szukała swoich korzeni ani rodziny w Korei. Prawdopodobnie

dlatego, aby uniknąć stresu i dodatkowego bólu. Jest urocza, gospodarna i mądra, gra na fortepianie i na saksofonie oraz śpiewa w chórze. Do swojego syna Emila, który ma teraz 2,5 roku, w domu mówi po szwedzku, natomiast Karol mówi do niego tylko po polsku. Niedawno moja żona pojechała do Polski z Karolem, Lindą i Emilem. Największą radość mieli pradiadkowie, czyli rodzice mojej żony. Mówili do skośnookiego Emila po polsku, a on wszystko rozumiał. Pradziadek go uczył: “Emil, przynieś mi gazetę”. A dzieciak szedł i jakąś przynosił. I obaj się wtedy cieszyli.

Kiedy wrócili z Polski, pytam Emila: kto ty jesteś? A on na to: ja jestem urwis! Nie wpieramy mu, że jest Polakiem, bo nigdy nim nie będzie. Dodam, że prawnuk poety Władysława Bełzy, tego od “Kto ty jesteś – Polak mały...”, jest świadomy swego pochodzenia, mieszka w Moskwie i jest Rosjaninem!

Kiedy przyjeżdżają do nas do Sztokholmu, oboje z żoną, jako dziadkowie, mówimy do Emila tylko po polsku. A on chłonie wszystko jak gąbka. Dla pokolenia dziadków, którzy mieszkają w Polsce, to wielki ból, gdy nie mogą się porozumieć ze szwedzkimi wnukami... Niestety, w wielu polskich rodzinach w Szwecji tak się dzieje, że rodzice mówili i mówią do dzieci po szwedzku, twierdząc, że dzieci same nauczą się później polskiego...

Miałem okazję poznać wasze dzieci, kiedy byłem u was w Sztokholmie. Możecie być z nich dumni. Powiedz jeszcze, co z Natalką?

Córka skończyła medialne gimnazjum, ale nie mogła dostać pracy w telewizji czy w radiu. Później studiowała ekonomię w Szwecji, ale też i we Francji. Mówi świetnie po szwedzku, angielsku, francusku, no i oczywiście po polsku. Aktualnie pracuje w niedużym szwedzkim banku w Sztokholmie. Jest kierowniczką działu, który jest odpowiedzialny za perspektywiczny rozwój tego banku. Jest związana z chłopakiem pracującym w innym oddziale tego banku i niedawno kupili sobie mieszkanie, które będą długo spłacać. Są młodzi...

Twoja żona jest księgową, a Ty czym się zajmujesz – przecież trzeba zarobić na utrzymanie rodziny... Jak to było...

Robiłem różne dziwne rzeczy. Rozpiętość moich zajęć była bardzo duża: od warsztatu szewskiego (naprawiałem buty, torebki i inne rzeczy we własnym warsztacie) do amerykańskiej fabryki rozruszników serca – składałem pacemakery pod mikroskopem. W środku kariery emigracyjnej

były restauracje i budowy. Kiedy pracowałem w restauracji, zacząłem od zmywania talerzy i wielkich garów, potem byłem kelnerem. Tynkowałem domy i kładłem podłogi epoksydowe, statystowałem w filmach, nosiłem meble i byłem pielęgniarzem w domu opieki... Dosyć długo też pracowałem w IBM – składałem wielkie, przemysłowe drukarki do momentu, aż zamknięto fabrykę i zwolniono z pracy 1200 osób. Na początku lat 90. założyłem własną gazetę.

Wiem, że od zawsze ciągnęło Cię do pisania, gdyż zawsze miałeś coś ciekawego do powiedzenia. Znalazłeś czas na pisanie?

W czasach spokojnych, czyli wówczas, kiedy pracowałem w IBM, zacząłem prowadzić dziennik, który pisałem przez dziesięć lat. Dałem go do przeczytania znajomej redaktorce w Warszawie, ale orzekła szczerze, że jest mało atrakcyjny czytelniczo. Niech się odleży... Ale jak się rozpędziłem, to zostałem na kilka lat korespondentem “Gazety Krakowskiej”, a ostatnie moje teksty dotyczyły Nagrody Nobla dla Wisławy Szymborskiej w 1996 roku. Wtedy w Sztokholmie założyłem własną gazetę.

Założyłeś gazetę... To była na pewno odważna i ryzykowna decyzja. Co Cię do tego skłoniło?

Kolega wydawał w Sztokholmie polską gazetę, ale kiepsko mu szło. Kiedy straciłem pracę w IBM, pomyślałem, że ja się tym zajmę. W tym czasie zaczęły się ukazywać w Sztokholmie dwa szwedzkie darmowe dzienniki “Metro” i “City”. Postanowiłem wydawać podobną gazetę po polsku – tyle że miesięcznik. Chciałem dzielić się z rodakami dobrym polskim słowem. Wydawałem to pismo – nazywało się “Przewodnik” – trzy lata. Trochę pomagała mi żona. Byłem pierwszym Polakiem w Sztokholmie, który podjął się czegoś takiego. Szło mi nawet nieźle, ale przeżyć z reklam było jednak dosyć trudno. W pewnym momencie... zbankrutowałem. Okazuje się, że do interesów to ja głowy nie mam. Do tej pory mam ten sam adres internetowy: przewodnik@hotmail.com.

Przewróciłeś się na tym samym co kolega?

Mniej więcej. W Sztokholmie tak jest, że jak Polak przychodzi do polskiej kawiarni i kupuje herbatę, od razu liczy na to, że otrzyma rabat dla rodaka. Podobnie było z reklamą w moim piśmie. Idąc tym tropem, to Szwed powinien mieć rabat w każdym sklepie, jeśli cokolwiek kupuje – ale tak przecież nie jest.

Nie jest łatwo wydawać ambitne pismo na emigracji – wiem coś na ten temat. Czy ktoś, oprócz żony, wspierał Cię w tym przedsięwzięciu?

Miałem kompana Michała Moszkowicza – pisarza, który wyemigrował z Polski w 1969 roku – ale on zajmował się tylko pisaniem. Spotkaliśmy się kiedyś w kawiarni i zaczęliśmy rozmawiać o potrzebie wydawania gazety. On mi mówi: “Tadek, to ty zacznij, a ja ci pomogę”. Poszedłem więc do sklepu i kupiłem klej w puszcze. Michał napisał parę tekstów, ja zrobiłem layout, inny kolega mi to wszystko zламаł na pagemakerze, no i pobiegłem do drukarni. Ale wcześniej rozmawiałem z potencjalnymi reklamodawcami. Na ogół twierdzili, że jak wydrukuję, to mi potem zapłacą. Zaufałem ludziom i wydrukowałem 3 tysiące egzemplarzy. Z kolegami ruszyliśmy z gazetami do czytelników oraz ogłoszeniodawców. Szybko otrzymałem pieniądze za zamieszczone reklamy i mogłem zapłacić drukarni za druk – 8 tysięcy koron.

Jak długo wydawałeś swoje pismo? Co chciałeś w nim przekazać czytelnikom, do czego usiłowałeś rodaków przekonać?

“Przewodnik” wydawałem w latach 1997-2000. Miało to być pismo – tak sobie założyłem – które miało nie przewodzić, ale jednoczyć. Pisałem więc o polskich organizacjach, ciekawych ludziach, ale i o historii, architekturze Sztokholmu. To był magazyn, który chciałem kształtować – w miarę możliwości i sił – na wzór “Przekroju”. Pismo miało format A4, teksty były składane w trzech szpaltach na stronie, bez ilustracji i fotografii.

Już po dwóch latach zaczęło mi brakować pieniędzy. Mieliśmy kupić kanapę do domu, ale... nie kupiliśmy, bo pieniądze wpakowałem w gazetę. Wszystko robiłem w domu, a lokal redakcyjny mieścił się w... kawiarni Claudia, która już nie istnieje. Tam spotykałem się z autorami, którzy pisali do “Przewodnika”, oraz z reklamodawcami. Było coraz trudniej, po pewnym czasie “Przewodnik” zacząłem już wydawać co dwa miesiące. Nie było konkurencji, ale nie wytrzymałem tej presji, ciągłej gonitwy i niepewności. I gazeta padła, ale w dobrym towarzystwie – bo dziennik “City” również zniknął z rynku.

Ale zostałeś jednak doceniony za ten wysiłek na rzecz rodaków na emigracji i otrzymałeś zaproszenie na wyjątkowe wydarzenie – Światowe Forum Mediów Polonijnych w Tarnowie. I tam spotkaliśmy się...

Po trzech latach wydawania “Przewodnika” dostałem zaproszenie do

Tarnowa, czyli zauważono mnie w Polsce! Organizatorem corocznych spotkań polskich dziennikarzy z całego świata było – jak widniało na zaproszeniu – Stowarzyszenie Małopolskie Forum Współpracy z Polonią w Tarnowie. Pomyślałem, że to pewnie jakaś nudna nasiadówka. Ale kiedy już było kiepsko z piśmem, zdecydowałem, że pojedę jednak do tego Tarnowa. Po raz pierwszy pojechałem we wrześniu 2000 roku. Zabrałem ze sobą ostatni numer “Przewodnika”, który ukazał się w lipcu. Tam od razu naiwnie poskarżyłem się, że nie mam pieniędzy na wydawanie pisma – bo miałem nadzieję, że uzyskam jakąś pomoc. Ale organizatorzy nie byli na tyle władni, by wspierać mnie finansowo. Pomoc uzyskałem, ale inną. Poznałem wiele znakomitych osób. Rozsmakowałem się w tym Forum, bo był to dobry pomysł, świetnie realizowany przez tarnowianina Stanisława Lisa. Z wieloma koleżankami i kolegami dziennikarzami mam do dzisiaj kontakt – konkretnie jest to blisko 150 osób w 30 krajach!

Od tamtej pory jeździłem na Forum Mediów do Tarnowa co roku, bo nie wyobrażałem sobie września, abym tam nie był. Dzięki kontaktom z kolegami dziennikarzami z całego świata wiele się nauczyłem, poznałem problemy innych wydawców, ale też uzyskałem szansę pisania artykułów do wielu pism. Najczęściej i najchętniej pisałem do gazet na Wschodzie – wychodzących na Litwie, Ukrainie czy Białorusi – mimo że rzadko płaciły za publikacje, bo do dziś bardzo interesują mnie losy Polaków tam właśnie żyjących. Pisałem także do nowojorskiego “Nowego Dziennika”.

W 2012 roku odbyło się XX Światowe Forum Mediów Polonijnych – niestety ostatnie. Majka Klon, która wydaje w Berlinie miesięcznik “Kontakty”, przysłała mi potem zdjęcie, jak przeprowadza wywiad z żoną prezydenta RP Anną Komorowską. Odpisałem jej, że powinna się poskarżyć, iż skończyły się forumowe spotkania, co dla dziennikarzy polonijnych jest ogromną stratą.

Czy po zamknięciu “Przewodnika” pracowałeś w Sztokholmie jako dziennikarz, pisałeś do gazet wydawanych po polsku w Szwecji?

Jak wspominałem, jest w Sztokholmie Ośrodek Polskich Organizacji Niepodległościowych – klub zrzeszający osoby ze starej emigracji, z okresu przedwojennego i z czasów II wojny, kiedyś zbliżony do Londynu i Paryża. Bywałem tam od momentu pojawienia się w Szwecji. Spędziłem tam swoją pierwszą szwedzką Wigilię, krótko po ogłoszeniu stanu wojennego. To był adres znany wszystkim zagubionym, bez adresu i projektu na przyszłość.

Mnóstwo ludzi ujawniło się wtedy. Organizacja ma piękny, duży lokal, wykupiony na własność. Znajduje się tutaj bogata polska biblioteka, do której kiedyś często zaglądałem. Nowo przybyli najchętniej czytali słynne paryskie pismo “Kultura”, wydawane przez Jerzego Giedroycia. Dzisiaj w tej bibliotece pracuję jako bibliotekarz-wolontariusz.

Czy były po drodze jakieś gazety?

Ośrodek wydawał przez pewien czas piśmko “Wiadomości Polskie”. Robione po amatorsku, nie przetrwało długo. Później z kolegami z mojego rzutu emigracyjnego wydawaliśmy miesięcznik “Słowo”, który na skutek niesnasek organizacyjnych rozpadł się, dając swój tytuł pismu Kongresu Polaków w Szwecji. Byłem szefem tej gazety, ale po przedwczesnej śmierci prezesa Kongresu – Michała Bieniasza, nie byłem w stanie samodzielnie pismo wydawać.

Wspominałeś o niesnaskach między rodakami w Sztokholmie... My chyba musimy mieć – bez względu na to, gdzie żyjemy – nieprzyjaciela pod ręką i do tego, żeby mówić po polsku...

Kłócimy się między sobą w kraju i na obczyźnie, bo lubimy obstawać przy swoim i nie potrafimy iść na kompromis. Dzielili i dzielą nas poglądy na wszystko. Śmieszne i poważne. W ostatnich latach pęknięcie idące przez Polskę dotarło również za granicę. Społeczeństwo w Polsce i diaspora są podzielone. Czy to da się zlepić? Nie wiem... Trzydzieści lat temu w Sztokholmie dzieliła nas komuna i o tym wiedzieliśmy. A teraz tak naprawdę nie wiem, co nas dzieli...

Jesteś w wieku przedemerytalnym – czas dotyka wszystkich, niestety. Jak zatem u Ciebie z pracą?

Firma produkująca pacemakery przeniosła się do Maleszji, zapewne ze względów podatkowych. Młodszy jeszcze mogli załapać się gdzie indziej do pracy, a starszych – w tym i mnie – zwolniono na dogodnych warunkach. Mam problem ze znalezieniem pracy, więc otrzymuję wsparcie z państwowego programu “Pomoc w rozwoju”. Żona na szczęście pracuje, dlatego też radzimy sobie całkiem nieźle. Czasami dostaję jakieś pieniądze za opublikowany tekst. No i zajmuję się bardzo chętnie moim wnukiem – “samurajem” Emilem!

Kiedy padł “Przewodnik”, jakiś czas później Tadeusz Nowakowski – który też bywał na Forum Mediów w Tarnowie – wypełnił powstałą lukę i zaczął wydawać “Nową Gazetę Polską” i wydaje ją do dziś. Czy pomagasz mu w tym, masz przecież spore doświadczenie...

Tadeuszowi doświadczenia nie brakuje. Wydaje dwutygodnik o charakterze informacyjnym. Kolportowany jest bezpłatnie w polskich środowiskach, przede wszystkim w Sztokholmie, Göteborgu i Malmö. Uzupełnieniem dla tego dwutygodnika jest portal internetowy Polonica.se.

Był czas, że mocno go wspierałem, dużo pisałem do gazety. Nowakowski ma, niestety, podobne kłopoty, jakie i ja miałem – przede wszystkim ma problemy z pieniędzmi, bo ogłoszeniodawcy czasami są niesolidni. Ale się stara i gazeta jest coraz lepsza. Teraz piszę od czasu do czasu do “Nowej Gazety Polskiej”, aby ludzie wiedzieli, że jeszcze żyję i coś pożytecznego robię.

W ostatnich latach mnóstwo Polaków wyjeżdża do Irlandii, Anglii, Niemiec czy innych krajów w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Różnie układają się losy tych emigrantów za pracą, za lepszym życiem. Czy jest jakiś sposób, jakiś przepis, który ułatwiłby tym młodym ludziom adaptację w obcych krajach? Krótko mówiąc – czy masz jakiś sposób na to, aby emigracja była dobra?

Emigracja to ostateczność. Tak naprawdę nigdy nie jest dobra! W czasach, kiedy ja wyjeżdżałem, liczyło się na łut szczęścia. Wiele osób po pewnym czasie wracało do Polski ze złamaną duszą i karierą, poświęcili się bowiem zdobywaniu pieniędzy, a gdy im się udało – był wstyd... I wracali na tarczy.

Dzisiaj, jeśli ktoś emigruje, musi mieć program! Kiedyś, w czasach PRL-u, programem był sam wyjazd. Dzisiaj trzeba mieć określone punkty zaczepienia, gdzie można liczyć na pomoc znajomych czy rodziny w znalezieniu pracy i mieszkania. Często się słyszy bowiem o rodakach, którzy stracili szansę na lepsze życie tylko dlatego, że nie byli przygotowani do emigracji, nie mieli programu dla siebie. Trzeba zacząć od tego, że trzeba poduczyć się języka kraju, w którym chce się być, przynajmniej w podstawowym wymiarze... I być dobrym fachowcem!

A jak jest z Twoim szwedzkim?

Moim marzeniem było pisać po szwedzku. Mówię, ale nie potrafię dobrze pisać – nie nauczyłem się. To wymaga wysiłku, a ja nie miałem na to czasu – musiałem pracować, utrzymać siebie, potem rodzinę...

Kiedy Danusia skończyła różne kursy, a potem szkołę, otrzymała dobrą pracę – pracuje jako księgowka w firmie pomocowej, która zajmuje się udzielaniem pomocy ludziom potrzebującym w wielu krajach, m.in. na Białorusi. Kiedyś pojechała ze swymi szefami do jednego z krajów afrykańskich, aby omówić zakres i sposób udzielania pomocy. Był to kraj muzułmański, więc podczas obrad wszyscy mężczyźni siedzieli na krzesłach pod baobabem, a ona – kobieta – musiała siedzieć na ziemi. Jeden ze Szwedów nie wytrzymał i powiedział, że nie można tak traktować kobiety, która trzyma finanse w rękę i od niej zależy, czy ta wioskowa organizacja dostanie pieniądze, czy nie. Natychmiast przynieśli Danusi fotel. Nawet król murzyński, który miał chyba 30 dzieci i był strasznie gruby, potem jej się kłaniał.

Będąc na emigracji wiele lat nie można żyć wyłącznie w polskim getcie. Obaj, po tylu latach spędzonych poza krajem, doskonale o tym wiemy. Ale wiemy też dobrze, że nie można udawać kogoś innego.

Częste są przypadki, że ktoś przyjeżdża do Szwecji nadgorliwy, zakompleksiony i stara się być taki, jakimi są lokalni mieszkańcy. To zazwyczaj kulawo wychodzi i turyści śmieją się z takiego przybysza. Nie można niczego udawać, nie można niczego ani nikogo bezmyślnie naśladować. Zrozumienie przychodzi poprzez język kraju pobytu i uczestniczenie w jego życiu. Inaczej pozostaje polskie getto i pretensje do świata, że nam się nie udało...

Kolega otrzymał obywatelstwo szwedzkie i pojechał z tej uciechy do Polski. Tam zdarzyła mu się przykra sytuacja – został okradziony. Udał się więc do ambasady szwedzkiej ze skargą: “Zostałem okradziony, a ja przecież jestem Szwedem...”. Mało grzeczny, ale bezpośredni szwedzki urzędnik powiedział mu wtedy: “Stary, ty Szwedem nigdy nie będziesz! Masz tylko obywatelstwo”. Ale pomógł jak rodakowi!

Wiem doskonale, że niczym nie da się zastąpić polskości. Jeśli ktoś wyemigrował w wieku około 30 lat, tak jak ja, to jest już dokładnie zbudowany z polskich elementów. I żeby nie wiem co robił, jak się farbował, to i tak nigdy nie zostanie Niemcem czy Szwedem... Kiedy pytałem swojego syna “kim ty jesteś?”, to jeszcze piętnaście lat temu odpowiadał mi, że “Polakiem”; ale teraz mówi: “Jestem Szwedem polskiego pochodzenia i mówię po polsku”. On dzisiaj korzysta w pełni z tego, że mówiliśmy do niego cały czas po rodzinnemu, że był otoczony tym, co polskie, że chłonął tę polskość. Codziennosc pozadomowa, czyli przedszkole, szkoły, podwórko, koledzy, studia sprawiły, że jest Szwedem

urodzonym w Warszawie. Jednym z wielu. I wie, kim jest. To jest naturalne!

Moja córka podobnie. Ma chłopaka Szweda, który nie miał pojęcia o języku i o Polsce. Pojechali kiedyś do Warszawy, Krakowa i poruszali się po miastach, jakby byli u siebie, no bo ona mówi po polsku. Człowiek musi się określić, kim jest, bo inaczej zagubi się w tym świecie. Trudno jest myśleć o Kościuszcze, Sobieskim, Piłsudskim czy Solidarności przez całe życie, gdy telewizor, radio, ulica, szkoła nadają w obcym języku. Jako imigrant jestem obcy wśród obcych, ale mogę być swoim wśród obcych, gdy się postaram i zechcę ich zrozumieć.

Rozumiem, że Ty nie masz problemów z samookreśleniem, w końcu zachowałeś obywatelstwo polskie. Czy planujecie z żoną powrót do Polski na emeryturę? Macie przecież gdzie i do kogo wracać...

Wielu z nas wciąż uważa się za emigrantów, chociaż powody emigracji ustały. Moje miejsce w Polsce zostało jednak zajęte, a Szwecji się nauczyłem. Emerytura? Coraz bliżej! Ale raczej w Szwecji. Sentymentów oczywiście nie ugaszę, dlatego pielgrzymuję do Polski, ale... wracam. Mam obywatelstwo polskie, żona i dzieci też już od dawna są Szwedami.

Dzisiaj Polacy przyjeżdżają do Szwecji jak z wolnego kraju do wolnego kraju. Ja kiedyś zostawiłem bliskich na chwilę, która trwała 2,5 roku, a do domu do dziś nie wróciłem. Dla wielu wśród moich znajomych był to czas próby, stąd rozwody, rozstania i późne po latach odwiedziny. Ale skoro zostałem tutaj, trzeba było układać sobie życie na szwedzki sposób, według tutejszych reguł. Mam tutaj dwoje dzieci i wnuka – to mocno wiąże. Klan się rozrasta. Polskie przyjaźnie porwały się, poza kilkoma wyjątkami. Mawiam za filozofem, profesorem Tadeuszem Kotarbińskim: “Emigracja to rodzaj pogrzebu, po którym życie trwa nadal”. Mawiam również, że przyjechałem ze starej Polski do nowej Szwecji, a teraz odwiedzam nową Polskę ze starej Szwecji. Tak mi się przytrafiło i nikogo za to nie winię. Emigracja to ciężki chleb, bo wszystko trzeba od początku... Pewnie wróciłbym do Warszawy, ale wiem, ile to może kosztować oraz jakich elementów potrzeba do zbudowania życia na nowo. Ćwiczyłem to już w przeszłości... Stąd też nie jestem pewien, czy dałbym radę, czy miałbym tyle siły? Robi się późno...

Kraków, 20 lipca 2015 r.

